

JA - AUTORYTET

*...wokół człowieka rozgrywa się
cały dramat świata...*
M. A. Krąpiec

Jest to stwierdzenie tak uskrzydające, że mogliby się pod nim podpisać i twórcy wielkich religii, i twórcy wielkich filozofii. Wyjęte z kontekstu¹ odrywa się od konkretnej religii czy filozofii i określa człowieka jako centrum świata. Ale aby człowieka złączyć z wszechświatem potrzebna jest i religia, i filozofia.

Uznając człowieka jako centrum autorytetu chcę wskazać, że w ostateczności to on musi podjąć decyzję orzekającą, jak działać. Działanie to nabiera cech dramatycznych tylko wtedy, gdy człowiek świadomie wybiera między różnymi możliwościami, wiedząc jednocześnie, iż wybierając staje się odpowiedzialny za wybór i czyn. Istoty, których „wierzeniem i tradycją” jest „bicz i jarzmo z dzwoneczkami”² nie przeżywają dylematów moralnego wyboru, mąk egzystencjalnych. Stan błogości dany jest wielu, ale coraz częściej „pokorne owieczki” są targane „kosmicznym wichrem” i zmuszane do odpowiedniego ustawienia się: z wiatrem czy pod wiatr? Wtedy szukają autorytetu, a nie znajdując go ani wokół siebie, ani w sobie, doznają poczucia rozdarcia.

Źródła autorytetu

W każdej, nawet najmniejszej społeczności pojawia się autorytet, który wskazuje drogę innym. Jest on bądź narzucony, bądź wyłania się z grupy, która go wybiera. Sposób istnienia autorytetu w określonej społeczności (społeczeństwie) wskazuje na panujący tam system rządzenia: autorytarny lub demokratyczny. Każdy z nich odwołuje się do określonych wartości, które go legitymizują. Systemy autorytarne szukały (i szukają) uzasadnienia racji

¹ A. Krąpiec wbudował je w zdanie o wierzeniowym źródle istoty człowieka, odwołując się do Pisma św.: „Według koncepcji biblijnej człowiek jest specjalnym dziełem Boga; wokół człowieka rozgrywa się cały dramat świata, dramat, w którym bierze udział bezpośrednio Bóg, i to tak dalece, że się wcielił dla nadania ostatecznego «sensu» ludzkiemu życiu, które w oderwaniu od Boga jest niezrozumiałe”. A. M. Krąpiec, *Ja – człowiek. Zarys antropologii filozoficznej*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1974, s. 6.

² Odwołuję się do wiersza Puszkina *Wolności siewca*, w przekładzie J. Tuwima, *Z rosyjskiego*, PIW 1954, s. 168.

swego istnienia, siły sprawczej bądź w świecie pozaziemskim (religie i najrozmaitsze wierzenia), bądź w ideologiach, tworzonych zwykle *post factum* dla usprawiedliwienia i „uświęcenia” podjętych działań. Systemy demokratyczne powołują się na lud, który udziela swojej mocy przywódcom. Często wzmacnia się siłę ludu, powołując się na pozaziemskie źródło. Wyraził to najpiękniej po polsku Miłosz: „Pan da siłę swojemu ludowi”³. Czyniono tak od wieków – wystarczy powołać się na Abrahama, który swój lud prowadził zgodnie z wolą Jahwe i zarządzał ludem tak, jak nakazywał mu Bóg w sennych widzeniach.

Autokrata najczęściej (i najchętniej) powołuje się na siłę wyższą, która daje mu „moc” przemawiania w imię takiej siły, tłumaczenia jej zamierzeń wobec człowieka oraz rządzenia ludźmi tak, jak tego życzy sobie owa siła. Oczywiście są to tylko najważniejsze uzasadnienia posiadania mocy, historia autorytaryzmu zna ich daleko więcej. Czynił tak każdy „pomazaniec boży”, koronując się na cesarza czy króla, czynili przywódcy różnych religii, a jeszcze częściej i chętniej szarlatani wszelkiej maści, tworząc nowe sekty i nowe „objawione” religie. Wielebny Moon, który ogłosił się nowym Chrystusem, nie cierpi na brak wyznawców. Autorytet tych ludzi, zarówno w ich mniemaniu, jak i w mniemaniu wyznawców, ma solidną, pozaziemską podstawę i jako taki nie może być kwestionowany. Aby wzmocnić swoją siłę i swój autorytet, autokraci bądź powoływali kapłanów, którzy tłumaczyli podwładnym istotę ich mocy, bądź sami wcielali się w Najwyższych Kapłanów i namiestników Boga. W dziele tym często pomagali im filozofowie, uzasadniając logicznie wywody tamtych. Tworzyła się ziemską „trójca” władzy i autorytetu: władcy, kapłani, filozofowie. Ale i w ten sposób „umocowane” systemy w końcu padały, zwyciężane przez inne. Nie tłumaczmy dlaczego – historia rozwoju ludzkości zna odpowiedzi.

Nie wszyscy autokraci powoływali się na siły transcendentalne – szukano uzasadnień ziemskich bądź przyjmując istniejącą już ideologię, bądź tworząc ją dla doraźnych potrzeb. Każda z tych ideologii miała uszczęśliwiać określony „lud” czy „naród”, często tylko wybraną klasę społeczną. Rządzący w imię tych ideologii mieli potrzebną im legitymizację, a rządzeni uzasadnienie, dlaczego muszą się podporządkować przywódcom – wszak oni działają dla dobra rządzonych. Tylko czasem podwładni buntowali się – działo się tak wtedy, gdy niektórzy z rządzonych, nadmiernie ciemiężeni przez swoich władców, zaczęli głosić tezę, że władza wodzów, ich autorytet wcale nie jest warunkowany przez siły wyższe, ale ma całkiem ziemską podstawę, a nawet „przyziemną”. Wtedy pojawiali się nowi przywódcy, czerpiący autorytet z ludu, głosząc jednocześnie owemu ludowi, że będą jemu służyli. Słowa

³ Inskrypcja na pomniku ku czci poległych w 1970 r. w Gdańsku.

przeważnie nie dotrzymywali, ich pozornie demokratyczne rządy przeradzały się niebawem w autokratyczne, ponieważ szybko się orientowali, że niezależność w rządzeniu zyskuje się łatwiej, powołując się na siły wyższe. Jeżeli odrzucali bogów, musieli stworzyć ideologie „świeckie”. W imię tych ideologii, stworzonych oczywiście dla dobra podwładnych, rządzący.

Były to początki demokracji, w której lud był dawcą władzy – rządzący swoją siłą i autorytet czerpali od tych, którzy ich wybierali i którzy mogli rządzącym odebrać swoje pełnomocnictwo. Demokracja przez wiele wieków udoskonalała się i przeobrażała, gdyż zawsze rządzący mieli chęć ucieczki w autokrację w sposób trudny do zauważenia przez rządzonych, a gdy już to zauważyli, okazywało się, że proces uniezależniania się władców był na tyle zaawansowany, że zdobytej władzy nie dawali sobie odebrać. Lud jakoś sobie z tym radził, w ciągu wieków utworzono szereg zabezpieczeń, utrudniających wybranym przedstawicielom ludu ucieczkę w autokrację. I tak doszło do stwierdzenia, przypisywanego Churchillowi, że jest to wprawdzie system niedoskonały, ale najlepszy z możliwych.

Rozważając problem łączności autorytetu i władzy warto zapytać, czy władza ma charakter instrumentalny, czy autoteliczny. Ci, którzy nie uznają władzy za jakąkolwiek wartość, nie pragną jej ani dla siebie, ani dla innych, a o rządzących zwykle wypowiadają się „oni”, chcąc się w ten sposób odciąć od „bagna”, które towarzyszy sprawowaniu władzy. Ci, którzy władzy pragną i o nią walczą, głoszą, że chcą jej dla niej samej, aby „pomagać innym”. Po jej zdobyciu zapominają o tych uzasadnieniach i zaczynają traktować posiadaną już władzę jako dobro instrumentalne, pomagające w osiągnięciu własnych korzyści. Tylko nielicznym udaje się nadal postępować tak, jak głosili. Ci są uznawani przez wyborców i, w systemach demokratycznych, ponownie zdobywają władzę. Wreszcie i oni, po określonym czasie sprawowania rządów, zaczynają traktować ją instrumentalnie, bo nie mogą się oprzeć „magii” zdobywania, przy pomocy władzy, określonych dóbr. Wtedy zaczyna się proces detronizacji, trudny, przewlekły, wstydlivy, któremu towarzyszy „kurczone trzymanie się stołków”, aż wreszcie następuje ten nieunikniony moment „odcięcia”, zawsze bolesny, nawet wtedy, gdy działa jeszcze „odium”. Historia zna bardzo wiele przykładów takich procesów, w tym historia Polski nie tylko dawna, ale i współczesna. Pamiętamy, jak trudno było Wałęsie zrozumieć, że „ludzie już go nie chcą” (wcześniej, w końcu roku 1970, nie mógł tego zrozumieć inny przywódca, z innego systemu politycznego, co świadczy, że problem jest powszechny), jak boleśnie odczuł konieczność opuszczenia stanowiska premier Buzek, który do końca był przekonany, że czyni dobro, jak inny przywódca dawniej wielkiego związku

zawodowego (i nie tylko) miotał się między skrajnościami, by wreszcie przekonać się, że nie jest w opinii Polaków godnym kandydatem na stanowisko prezydenta.

Jak to więc jest z tym stosunkiem Polaków do władzy? Kiedyś poznawałem ten problem, przy okazji badania stosunku Polaków do określonych wartości⁴ – uznałem wtedy, że w stosunku Polaków do władzy jest wielkie skrzywienie psychiczne, moralne. To lata niewoli, okupacji obcych wojsk, obcych rządów wyrobiły w nas taki stosunek do władzy. Dlatego ciągle walczymy z jej przedstawicielami, często w imię szczytnych ideałów, a gdy walczący zdobywają władzę, sami stają się jej niewolnikami i popełniają te same błędy. Brak naszemu narodowi wiekowej tradycji korzystania z władzy, a jednocześnie i edukacji, stosowania jej w sposób demokratyczny, wspólnie uznawany i szanowany. Powszechnie się mniema, jakże często nie bez przyczyny, że skoro ktoś chce zdobyć władzę, to nie po to, by służyć, ale po to, by zaspokoić swoje ambicje i „urządzić się”.

Postawiłem wtedy postulat, ważny i dzisiaj, że należy jak najszybciej przystąpić do szeroko zaplanowanych badań nad funkcjonowaniem władzy i to zarówno w sensie obiektywnym, jak wykonywanie określonych czynności, jak i subiektywnym, w świadomości rządzących i rządzonych. Bez pełnego zrozumienia tego fenomenu nie potrafimy wychować nowych pokoleń do takiego sprawowania władzy, które zyskałoby powszechne uznanie i wykluczyło permanentne jej nadużywanie.

Autorytet moralny

Trudno być autorytetem, „stojąc na czele”, pełniąc określoną funkcję w hierarchii władzy. Im wyżej szczytu, tym trudniej. Udaje się to tylko nielicznym, którzy nie tylko uzasadniają swoją „moc” odwołując się do sił wyższych czy „ludu”, ale noszą ją w sobie, preferując te wartości, które czynią ich naturalnymi przywódcami moralnymi. Bycie w zgodzie z wartościami moralnymi jest warunkiem koniecznym stania się autorytetem dla innych⁵. A co to znaczy „bycie w zgodzie”? Znaczący to, co niesprzeniewierzenie się w działaniu zasadom moralnym, głoszonym publicznie. Autorytet moralny musi więc być co najmniej wzorem postępowania dla innych, ale jeszcze lepiej, aby był ideałem, według

⁴ Por. *Władza i kierownicze stanowisko – wartości nie uznawane, nie odczuwane*, w: *Na obrzeżu*, Oficyna Wydawnicza „Stopka”, Łomża 2001.

⁵ Nie wdając się w niekończące się dyskusje między filozofami, etykami i socjologami moralności moralność rozumiem w sensie wartościującym jako „...ocenę czyjegoś postępowania na gruncie jakiegoś społecznie funkcjonującego systemu ocen i norm moralnych”. Por. *Wielka Encyklopedia Powszechna*, PWN, Warszawa 1966, t. 7, s. 461.

którego, jak podług określonego wzorca, ustala się sposób realizowania pożądaných stanów rzeczy. Bycie ideałem udaje się tylko najlepszym, ale też to oni są wynoszeni na ołtarze, nie tylko te religijne, lecz również świeckie, wpisywani do panteonów i dopiero z tej wysokości stawiani za wzór.

Jaka jest „kondycja moralna” końca XX i początku XXI wieku. Mam na uwadze nie konkretnych ludzi i ich kondycję moralną, lecz ogólną atmosferę do czynienia dobra oraz to, co we współczesnym świecie uważa się za dobro.

Uwaga pierwsza: współczesny świat nie ma jednego zdecydowanego centrum, określającego, co dobre, a co złe. Nigdy go nie miał, ale były centra dominujące. Wiek XX skutecznie je likwidował, począwszy od pierwszej wojny światowej, poprzez faszyzm i komunizm, drugą wojnę światową i rozlanie się komunizmu poza granice Związku Radzieckiego, który to komunizm skutecznie niszczył autorytet moralny poszczególnych kościołów, w tym swojego, prawosławnego oraz, szczególnie, katolickiego. I chociaż w końcu przegrał to „homo sovieticus” pozostał i straszy świat.

Już nie tylko sprzeniewierzają się katolickiej etyce owieczki, ale i jej hierarchowie, i nie wstydzą się dalej nosić infuły na głowie. Dają „fałszywe świadectwo”. Czy to nie o nich myślał ks. prof. Tischner, gdy pisał: „Często z krzyżem na piersi daje się «fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu swemu», a myśl o przebaczeniu nieprzyjaciołom traktuje się jako zdradę «jedynie słusznej» sprawy. Tak więc znaleźliśmy się w samym środku duchowej sprzeczności. Zmiana poziomu wiary, która oznacza spłylenie wiary, drastyczna bezmyślność, wybiórcze traktowanie etosu chrześcijańskiego, skojarzenia z «ewolucyjną etyką» komunizmu – to wszystko sprawia, że wiara, która wczoraj dla mieszkańców «archipelagu Gułag» i jego okolic była Dobrą Nowiną, dziś dla uwikłanych w technikę życia, staje się źródłem jakichś «złych nowin». Cierpi na tym również obraz Kościoła: zamiast być źródłem łaski, staje się przede wszystkim źródłem oskarżeń człowieka. Cios idzie bardzo głęboko. Powiedziano: «człowiek staje się ateistą, gdy poczuje się lepszy od swego Boga». Jest w dzisiejszej «produkcji katolickiej» jakiś taki obraz Boga, z którym może iść w zawody dobroć człowieka z Kołymy i Oświęcimia. Tak, obraz Boga, bo chrześcijanie tego chcą czy nie, czy o tym wiedzą czy nie – są tworzeni na obraz i podobieństwo tego, w co wierzą... I tak raz po raz staje dziś przed nami radykalne pytanie: jak to właściwie jest z tym chrześcijaństwem – czy jest ono dla człowieka dobrą czy «złą nowiną»”⁶.

⁶ L. Kołakowski, *Wiara dobra, niewiara dobra*, w: „Gazeta Wyborcza” z 8-9 czerwca 2002 r.

Nie chcę komentować ani uzupełniać słów moralisty i filozofa, który sam nosił godnie sutannę do ostatnich dni swojego życia. Profesor Tischner mówił ogólnie o chrześcijaństwie, ale jako Polak przecież widział, co się i w naszej ojczyźnie dzieje. Na szczęście dla Niego nie dożył chwili, w której jednym biskupom zarzuca się czyny niegodne, a inni hierarchowie, ku zdumieniu wierzących, nazywają te czyny potknięciami ludzkiej natury. Przykłady z kraju i spoza granic w sposób znaczący szkodzą religii katolickiej.

Jako dorastający chłopak czytałem z wypiekami na twarzy powieść o królu i biskupie – otóż ów król, co biskupa na części porąbał, wyklęty błędził po Europie i zmarł nie wiedząc gdzie, może pod schodami jakiegoś klasztoru jako żebrak. Jakże po ludzku było mi go żal, ale też czułem, że poniósł słuszną karę. Czy dzisiaj możemy czuć, że winni ponoszą słuszną karę? Myślę tu nie tylko o sługach bożych, myślę o tych, którzy są na świecznikach przeróżnych i pełniąc służebną misję, łamią prawo, zabijają i gwałcą, warcholą w sejmie, zajmują bezprawnie drogi, że nawet karetki pogotowia nie przepuszczą, a my jesteśmy wobec nich bezsilni, ba! – bezsilne jest nawet prawo, bezsilna policja, bo często ci, którzy powinni nas bronić przed złem, sami zło czynią.

Świecki filozof z Oxfordu stwierdził: „Rzeczy zmieniły się z nastaniem nowej epoki, w którą Kościół wkroczył w zrozumiałej aurze tryumfalizmu; przejawy tego tryumfalizmu zawierały żądania dla Kościoła różnych przywilejów w życiu społecznym i prawodawstwie, a także pokazy chciwości w akcjach rewindykacyjnych; zniechęciło to wielu ludzi i spowodowało wzrost antyklerykalnych nastrojów, co z kolei sprawiło, że różne ważne ośrodki katolickie zachorowały na samonapędzający się kompleks oblężonej twierdzy”⁷.

Możemy powiedzieć: słudzy Boga wyrosli przecież z tego, polskiego ludu, wyrosli z innych, w tym amerykańskich, ludów, więc jaki lud, tacy słudzy. Polskie społeczeństwo możemy próbować usprawiedliwiać twierdząc, że jest w okresie przejścia „...od społeczeństwa ludu do społeczeństwa wyboru”⁸, stąd te niekonsekwencje między tym, w co się wierzy, a tym, jakie wybiera się działania. Ale inne społeczeństwa, w tym amerykańskie? Przecież one już dawno mają za sobą te trudne wybory, o amerykańskim społeczeństwie mówi się nawet, że jest najbardziej wierzącym na świecie. A jednak to tam narodził się nurt „New Age” i tam zbiera pokaźne żniwo.

7

⁸ Por. Wł. Piwowarski, *Przemiany religijności społeczeństwa polskiego w tworzącej się demokracji*, w: Ethos, KUL, 1993. Por. także mój artykuł *Czy wiara Polaków wpływa harmonizująco na ich życie społeczne*, w: *Na obrzeżu*, wyd. cyt.

Może więc należy uczynić uwagę drugą: czy czyn ludzki był kiedykolwiek zależny od wyznawanej religii? A może religia bywa tylko moralnym uzasadnieniem działania, podyktowanego przez emocje? Jest tylko rozgrzeszeniem, potrzebnym człowiekowi, bo czuje podświadomie, że nie jest sam sędzią swoich czynów? Może przyzwyczailiśmy się, że każdy nasz czyn zostanie rozgrzeszony, więc nie warto się zastanawiać przed jego popełnieniem, czy jest zgodny z zasadami przyjętej etyki? Kiedyś, jadąc z jakiegoś naukowego spotkania samochodem z moim kolegą, wierzącym i praktykującym katolikiem, zagadaliśmy się na temat tzw. grzechów zdrady małżeńskiej. Chełpił się, że uwielbia uwodzić piękne dziewczyny, mimo iż jest żonaty. Zapytałem – a poczucie winy? Wina? Jaka wina – przecież jest instytucja spowiedzi, po rozgrzeszeniu czuję się od niej uwolniony – odpowiedział. To ten duchowny, zamknięty w konfesjonale, bierze nasze winy na swoje barki i woła: „Ja cię rozgrzeszam, jeżeli Bóg cię rozgrzeszy” – tylko że penitent przeważnie nie słyszy tej drugiej części lub się nad nią nie zastanawia. Został rozgrzeszony, może dalej grzeszyć, a na znak zadośćuczynienia odmówi parę zdrowasiek.

Wiem – miałki to przykład, na pewno nie tak usprawiedliwia swoje złodziejstwa złodziej, swoje zbrodnie zbrodniarz, swoje gwałty gwałciciel. I czy w ogóle usprawiedliwia? Jego czyny, popełnione w świecie, w którym zaciera się granica między dobrem a złem, coraz częściej znajdują społeczną aprobatę i nie są potępiane. Znajdują też zawsze obrońców, którzy, za sowitą opłatę, gotowi są udowodnić przed sądem, jeżeli do tego dojdzie, że ich klient działał w dobrej wierze.

Nasz kontekst dotyczy jednak odpowiedzialności moralnej w sumieniu – protestantyzm wymyślił inne rozwiązanie: odpowiedzialność przed Bogiem, to Jemu się spowiadam i On mnie rozgrzesza, bez pośrednictwa drugiego człowieka. Stąd jakże blisko do kantowskiego „Niebie gwiazdziste nad nami, prawo moralne w nas”.

Ja – autorytet

Nie wiemy, ile czasu ten królewiecki filozof spędził na dumaniu patrząc w nocne niebo, które nad Królewcem było podobne do tego, w jakie patrzył wielki astronom z fromborskiej wieży. Wiemy tylko tyle, że autorytet Kopernika był przed nim, że polski astronom swoją niewidzialną ręką mógł pokazywać niemieckiemu filozofowi co jaśniejsze gwiazdy. Czy, patrząc w nie, filozof dumał o Wielkiej Transcendencji, która wlała w nas swoje moralne prawo, w naszą nieśmiertelną duszę, a jeżeli nieśmiertelną, to i wolną? „Nie

jest dowiedzione, iż jesteśmy wolni, ale – żyć musimy tak, jak gdyby było dowiedzione”⁹. Żyć i działać, odnajdując w sobie uzasadnienie działania.

Na początku XXI wieku znów chwieją się podstawowe prawdy i religie, które te prawdy głoszą, chwieje się cała Transcendencja, scjentyzm opanował świat. Ponieważ niczego do końca wyjaśnić nie można i ciągle odpowiedzi na podstawowe pytania oddalają się, rodzą się nowe religie, nie chcące być sprzeczne z nauką, ponad nią szukają odpowiedzi innych, niż dawały dotychczasowe religie, które trzymają się starych zasad. Człowiek przyzwyczajony do starych zasad, ale już wobec nich nieufny, bo „podgryza” je wiedza, zaczyna się buntować, szukać nowych punktów oparcia dla swego działania. Często ich nie znajduje i zaczyna dochodzić do wniosku, że tylko to jest dobre, co przynosi korzyść jednostce, więc kłania się Mamonie i działa tak, by mieć najwięcej. Wielu, wybierając taką drogę, na jej końcu spotykają prawo i odpowiedzialność i zostają w ich imię osądzeni; innym jeszcze się udaje uniknąć odpowiedzialności, ale istnieje możliwość, że i ich dosięgnie ręka sprawiedliwości. A wtedy przestają być autorytetem dla innych i siebie. Dla człowieka myślącego to klęska, to egzystencjalistyczny dramat rozdarcia między dobrem a złem, sensem istnienia. Cóż pozostaje – rozpacz? Tylko nielicznych, słabych psychicznie ona dusi. Inni szukają siły w sobie, szukają tak długo, aż dochodzą do wniosku, że tylko oni mogą być autorytetem dla siebie. Wtedy przydaje się imperatyw Kanta.

Trzeba długo patrzeć w siebie, by znaleźć uzasadnienie naszego działania. A jeżeli tam nic nie ma, jeżeli patrzymy długo i długo szukamy, a w naszym wnętrzu pustka? Kogo wtedy za tę pustkę winić? Są tacy – ci, którzy nas wychowali. Nie zawsze to oni są odpowiedzialni, często nie mogli, bo sami nie wiedzieli, czasami ich zabrakło. Jeżeli nie znajdujemy w sobie autorytetu moralnego, musimy zwrócić się ku wartościom nieprzemijającym, powszechnym.

Przypomnę – mówimy o ludziach myślących, przeżywających dramat rozdarcia z powodu niemożności odnalezienia poza sobą i w sobie autorytetu. Ci ludzie, aby dalej istnieć w sposób niezależny, wolny (bez znaczenia – względnie czy bezwzględnie), muszą własnym wysiłkiem dojść do prawd, które zagwarantują im bycie autorytetem, najpierw dla siebie, potem dla innych (przy czym owo – „dla innych” nie zawsze musi nastąpić, ale, przy sprzyjających okolicznościach, może). Odnalezienie takich prawd jest bardzo trudne, zwłaszcza gdy jednostka obraca się w świecie, który głosi, iż posiadał „jedynie słuszną prawdę” i nie ma możliwości, by owo stwierdzenie zweryfikować. Tak działo się z

⁹ Wł. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, tom 3, Warszawa 1958, s. 245.

sumieniami wielu polskich intelektualistów czy artystów, ludzi na pewno myślących (Dąbrowska nawet napisała „Przygody człowieka myślącego”), których umysł i wola zostały opanowane przez ideologię komunizmu w wydaniu sowieckim, które to opanowanie oni zaakceptowali lub wręcz sami je przyjęli. Niektórzy z nich dali świadectwo swojego rozdarcia, jak Andrzejewski czy Dąbrowska (ta wprawdzie dopiero w swoich pamiętnikach), Broniewski czy Międzyrzecki, a zwłaszcza Kazimierz Brandys, inni do dzisiaj próbują bronić tezy, że czynili dobro, choć zostało już udowodnione, że służenie złu jest złem. Nie chcę ich osądzać, są to, jak napisałem, dramaty wewnętrzne, wielu broni się twierdząc, że działali w imię uratowania resztek dobra, i zapewne jest w tym jakaś subiektywna, a może i obiektywna racja, historia to odsłoni. Paru nie wytrzymało odkrycia, że służą złej ideologii, i popełniło samobójstwo.

Ale co ma robić człowiek, który chce żyć, a zawaliły mu się jego systemy wartości? Nie ma innego wyjścia – trzeba szukać na zewnątrz tak długo, aż znajdzie się takie prawdy, w imię których warto będzie nadal żyć, uznając je za swoje. W skrajnych dla człowieka sytuacjach nie ma innego rozwiązania, jak odbudowanie w sobie autorytetu dla siebie. I nie jest ważne, czy odbudujemy go w oparciu o konkretną etykę religijną, czy międzyludzkie, powszechnie uznawane prawdy moralne, ważne by między nimi nie było sprzeczności. Człowiek odrzucony przez innych, a zwłaszcza sam przez siebie (co jest najgorsze), zaczyna żyć gdy może powiedzieć: oto znalazłem prawdy, w imię których mogę być sam sobie autorytetem, mogę sobie wyznaczać cele godziwe i godziwie je osiągać, godziwie, to znaczy tak, by nie szkodzić innym.

A jeśli nie znajdziemy takich prawd, w imię których możemy sami dla siebie być autorytetem? Nie dlatego ich nie znajdziemy, że ich w ludzkim świecie nie ma, ale dlatego, że człowiek jest istotą ułomną, nie zawsze intelektualnie zdolną do samodzielnego poszukiwania. Wtedy pozostaną Autorytety z zewnątrz, na których możemy się wzorować. Wracamy do punktu wyjścia: autorytet to wzór, a jeszcze lepiej ideał, przyjęty w danej kulturze czy religii (lub w obu jednocześnie), w której jesteśmy urodzeni i zanurzeni, i od której musi przyjść do nas pomoc. Szczęśliwy naród, szczęśliwa społeczność, która w swym „łonie” wypielęgnowała wielu takich, których może postawić na piedestał. Taka społeczność się rozwija, bogaci wewnętrznie i pomnaża dobro, wspólne dobro. Jego brak prowadzi do wspólnego zła, przy założeniu, że zło jest brakiem dobra.

Jak szukać dobra i jak unikać zła, jak budować autorytet swój i innych, jak odkryć to, co jest rzeczywiste i dobre, a jak unikać prawd fikcyjnych, często złych, narzuconych nam. I czynić to w świecie, w którym jest coraz więcej zła, w którym coraz trudniej odgadnąć, co

jest rzeczywiste, a co fikcyjne, co się naprawdę wydarzyło, a co jest tylko zmyśloną przez szarlatanów bajką, dla ich dobra a na nasze zatracenie. Przecież wiem, że „...wszyscy idziemy pomiędzy potężnymi gmachami tego, co się nigdy nie stało, wąską i kruchą ścieżką rzeczywistości prawdziwie wydarzonej”¹⁰.

¹⁰ P. Kuncewicz, *Goj patrzy na Żyda*, Warszawa 2000, s. 39.